ŚWIAT MŁODYCH
GAZETA HARCERSKA

Nr 27 (1601) Warszawa, wtorek, 4 kwietnia 1967 r. Cena 50 gr

# COLTY, STRZELAJĄCE LASKI I URZĄDZENIA ELEKTRONOWE

MO na tropie (6)

c. d. str. 3

TAKIEGO ZBIORU broni palnej nie ma chyba nigdzie, w całej Polsce. Może tylko w Muzeum Wojska Polskiego...

— Jest to zarazem nasze muzeum — wyjaśnia starszy ekspert Zakładu Kryminalistyki pan Stanisław S. — i pracownia. Muzeum, bo udało nam się zgromadzić tak ciekawe eksponaty jak np. ten autentyczny Colt czy te dwa Smith-Wesson, a więc rewolwery używane przez kowbojów w czasach ich pionierskich wypraw na Dziki Zachód. Pamiętacie, panowie, słynny western pt. „W samo południe"? Bohater tego filmu strzelał z takiej właśnie broni. A ten karabinek, to 10-strzałowy Winchester, również używany przez osadników amerykańskich.

Z prawdziwym podziwem przyglądałem się tej zabytkowej broni, a Jurek Dąbrowski nie żałował filmu, fotografując ją z różnej pozycji. Nie było jednak czasu na kontemplację, bo oto już pan Stanisław otwierał drugą szafę, pełną jakichś lasek.

Już chciałem ją lekceważąco minąć, kiedy ze zdziwieniem zauważyłem, jak pułkownik Adamczak jedną z nich wyjmuje, chwilę przy niej coś majstruje i już trzyma w ręku nie żadną tam laskę, a prawdziwą strzelbę.

— Jak pan to zrobił? — zawołałem szczerze zdziwiony.

— To całkiem proste. — Pułkownik wyjął drugą laskę. — Najpierw zdejmujemy to gumowe zakończenie, takie, jakie ma prawie każda laska. I co pan widzi?

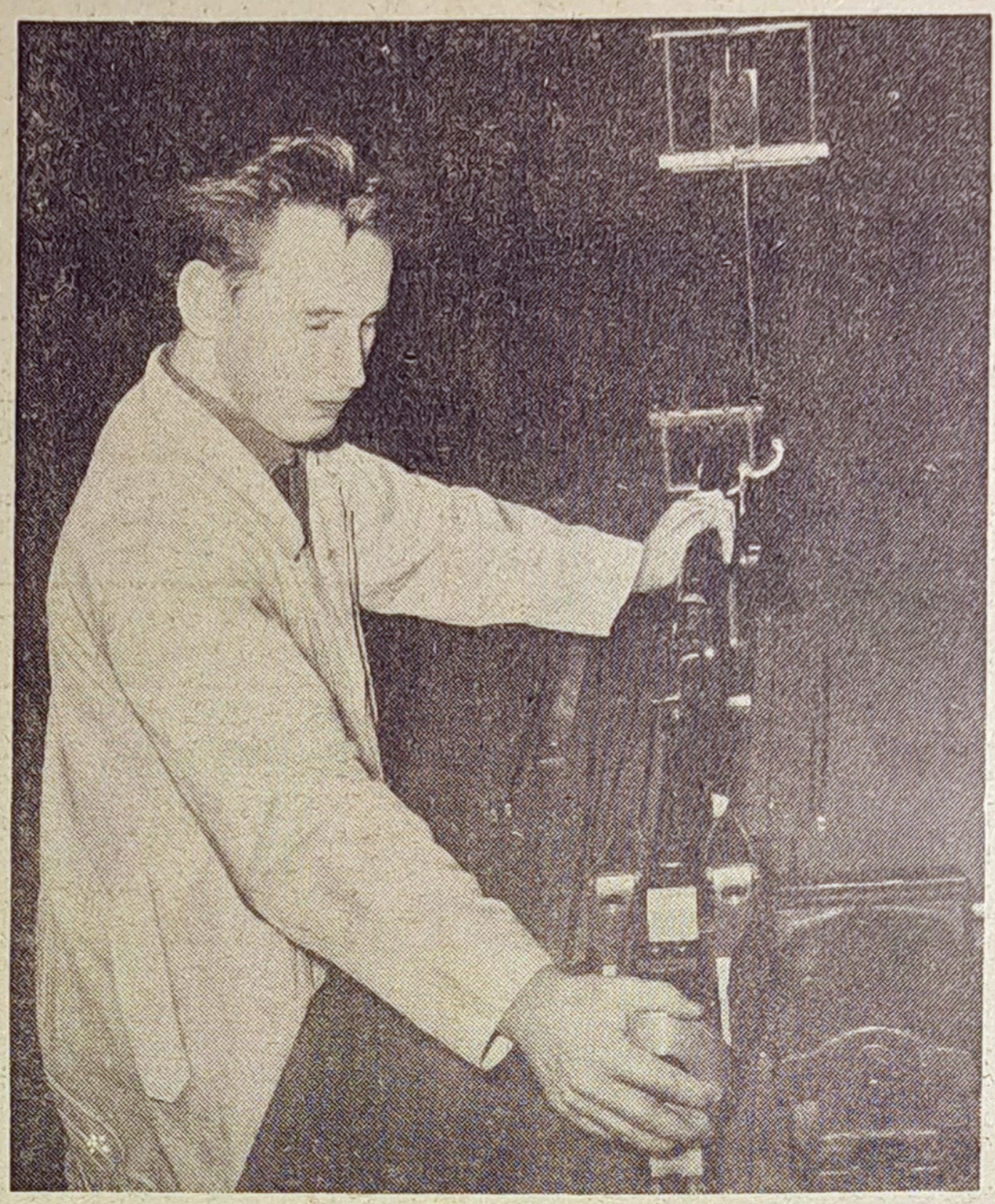

Pan Jerzy G. zakłada karabin na postument połączony z czasomierzem elektronowym. W dali widzicie dwie bramki. Maszyna elektronowa oblicza dokładnie czas w jakim pocisk przeleci między tymi bramkami.

**W nocy księżyc w lisiej czapie**
**nad Tatrami sobie człapie**
**w dzień zobaczyć można liska**
**jak przez krzaki się przeciska.**

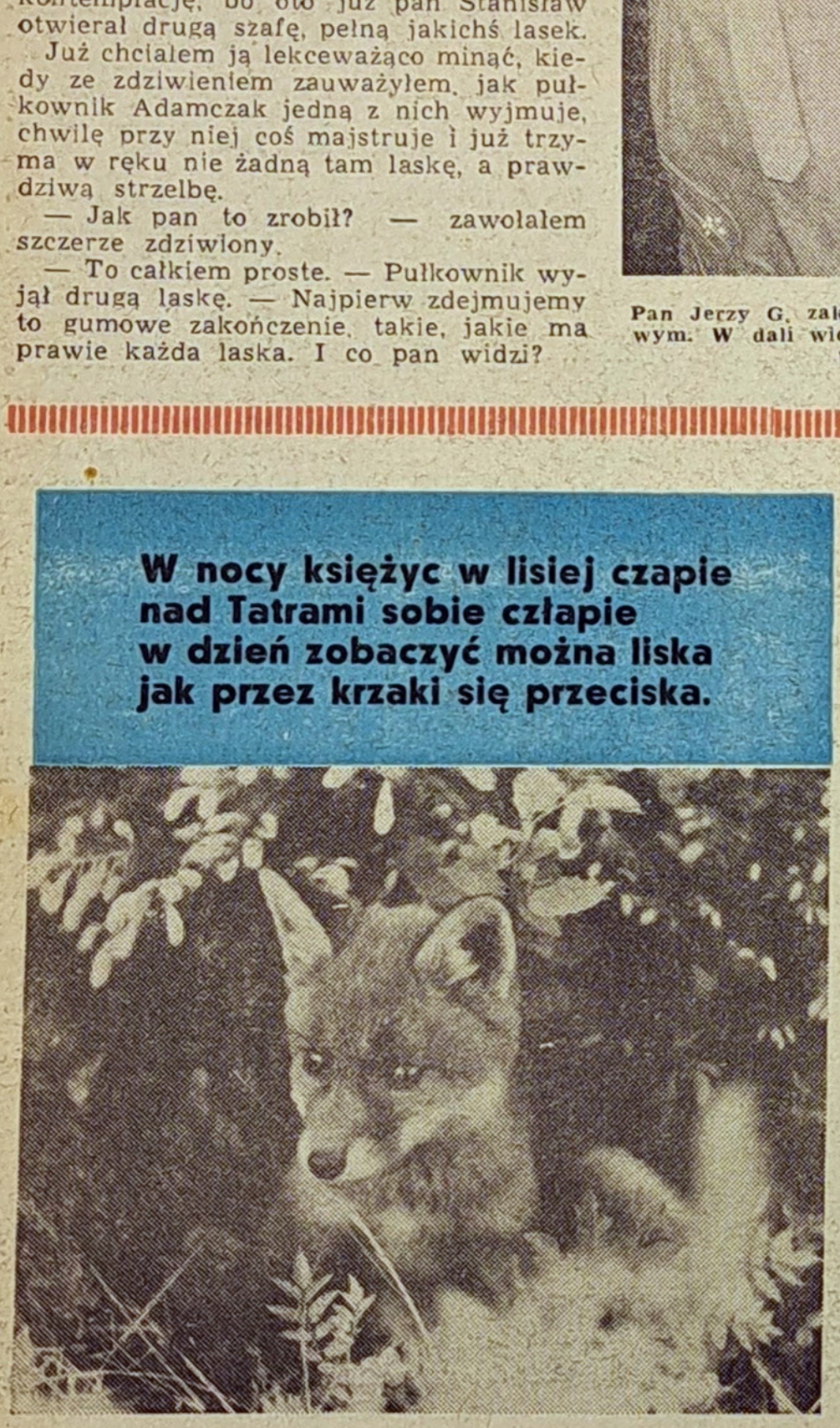

# Wiosna w TATRACH

— Wszystkie niedźwiedzie śpią jeszcze w swoich gawrach, a my czekamy cierpliwie aż się obudzą, bo bardzo jesteśmy ciekawi, czy w tym roku będzie jakiś przychówek — mówi inż. Jerzy Zembrzuski z Tatrzańskiego Parku Narodowego. Inżynier Zembrzuski jest adiunktem do spraw ochrony przyrody i znakomitym fotografikiem, o czym zresztą świadczą zamieszczone tutaj zdjęcia zwierząt. Ale fotografii niedźwiedzia inżynier, niestety nie ma.

Ciąg dalszy na str. 7

## PANTERY Z EUROPY

Ciekawe

● W dżunglach Birmy nie brak jest panter. Tym niemniej w ogrodzie zoologicznym w Rangunie, stolicy Birmy, nie ma do tej pory ani jednej pantery. Dyrekcja ZOO postanowiła wzbogacić ogród o ten gatunek zwierząt. Pantery sprowadzone zostaną do rangúńskiego ZOO z... Europy.

## ŚWIECĄCE MALEŃSTWO

● Uczeni angielscy skonstruowali najmniejszą żarówkę świata — jej średnica wynosi 0,07 mm, a długość 0,1 mm. Źródłem światła jest kryształ związku galu, świecący pod działaniem prądu elektrycznego. Podobne żaróweczki znajdą zastosowanie w miniaturowych maszynach matematycznych.

## WODA W CIELE CZŁOWIEKA

● W organiźmie człowieka znajduje się około 70 proc. wody. Nie jest ona równomiernie rozłożona w naszym ciele. Najwięcej jej znajduje się w oku — około 99 procent. W krwi — 80 procent. Najmniej wody znajduje się w emalii pokrywającej nasze zęby — zaledwie 0,2 procenta.

## REKIN W TORUNIU

● Jedna z mieszkanek Torunia znalazła wśród zakupionych przez siebie dorszy dziwną rybę o zielonkawym, cętkowanym grzbiecie i okrągłej uzębionej paszczy. Jak stwierdzono w zakładzie zoologii, był to rekin z gatunku tzw. psich. Okaz długości około 60 cm włożono do formaliny i służył on będzie jako eksponat naukowy. Rekin złowiony został wraz z dorszami.

## ZIEMSKIE JASNOŚCI

● Księżyc w pełni świeci bardzo jasno; mimo to jednak nielatwo jest czytać przy jego świetle. Bardziej szczodrze rozjaśnia nasza planeta noce na Księżycu. Wszak jej tarcza jest czternastokrotnie większa od tarczy Srebrnego Globu, oglądanego na naszym niebie. W dodatku zaś Ziemia posiada sześciokrotnie większą zdolność odbijania światła. Przy takiej „lampie" nawet najdrobniejszy druk będzie czytelny.

# Drzewo przyjaźni

SOCZI nad Morzem Czarnym ma prawdziwy cud, drzewo slynne na calym świecie. Na jego gałęziach rosną i mandarynki, i cytryny, i pomarańcze; łącznie okolo 30 gatunków cytrusów. Alc najciekawsze jest to, że drzewo szczepili slawni ludzie z całego niemal świata, m. in. prezydent Ho-Chi-Minh, Jurij Gagarin, Paul Robson... I ciągle ktoś dodaje nową gałązkę i ciągle ktoś jedną odcina, aby zasadzić ją w swojej ojczyźnie.

## WYNALAZKI Z AMATORSTWA

MAŁO KTO WIE, że wiele odkryć naukowych zawdzięczamy amatorom. Kupiec Leeuwenhock odkrył w XVII wieku bakterie. O dinozaurach świat dowiedział się dzięki prowincjonalnemu lekarzowi angielskiemu Mantelowi, którego bardzo interesowały wykopaliska. Zasady dziedziczności odkryte zostały przez Gregora Mendla, opata klasztoru augustianów w Brnie Morawskim; tlen — przez angielskiego teologa Josepha Priestleya, a kodachromową fotografię kolorową zawdzięczamy dwu amerykańskim muzykom: Lee Godowskiemu i Leopoldowi Mannesowi, którzy swoje doświadczenia przeprowadzali w pokojach hotelowych podczas gościnnych występów.

## CZUŁA MAMA HIPOPOTAM

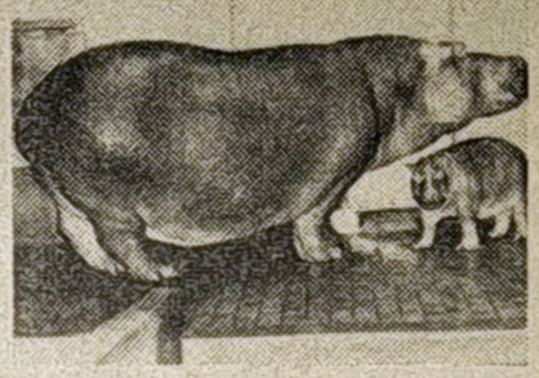

MAMA HIPOPOTAM jest wśród ssaków najczulszą, najlepszą mamą. Poród odbywa się na dnie rzeki, ale natychmiast po porodzie chwyta swoje maleństwo — 100 kg żywej wagi — w paszczę i wynosi na brzeg rzeki, gdzie długo i czule je liże, a potem natychmiast karmi. W pierwszym okresie nawet ojciec nie ma dostępu do noworodka, zostaje dopuszczony dopiero do nauki pływania i innych czynności życiowych. Gdy malec dostatecznie okrzepnie, rodzina hipopotama wraca do stada i mały ma możność bawienia się ze swoimi rówieśnikami. Gdy malc pobiją się — zupełnie jak na miejskich podwórkach — wkraczają mamy i w obronie swych pociech rzucają się na siebie. Te dobroduszne zwierzęta staczają wtedy krwawe walki.

## MALI ROBINSONOWIE

SZEŚCIU CHŁOPCÓW, mieszkańców jednej z wysp na Oceanie Spokojnym, wybrało się łódką na ryby. Kiedy znaleźli się na pełnym morzu, łódź porwana została silnym prądem, który poniósł ją do bezludnej wyspy Ata, około 110 kilometrów od ich rodzinnej wyspy.

Mali robinsonowie nie upadli jednak na duchu. Szybko i sprawnie podzielili wśród siebie obowiązki i ustanowili twardy rozkład dnia. Jedni chwytali ptaki, inni łowili ryby i znosili orzechy kokosowe, które dostarczyły smacznego mleczka kokosowego. Dla umilenia sobie przymusowej „robinsonady" sporządzili gitary, w rytmie których śpiewali pieśni. Dopiero po piętnastu miesiącach udało im się nawiązać „kontakt" z przepływającym w pobliżu wyspy statkiem bandery australijskiej, który zabrał małych robinsonów na swój pokład.

## RYBA — LIŚĆ

W DORZECZU dolnej Amazonki żyje maleńka rybka podobna do pożółkłego liścia. Zamieszkuje ona wody potoków i rzek przepływających wśród zatopionych lasów, gdzie prąd wody jest nieznaczny. W takich miejscach rybka leży nieruchomo tuż przy powierzchni wody głową na dół i unoszona jest przez prąd lub falowanie. Czasem rybka ta leży nieruchomo na dnie, gdzie również jest zupełnie niewidoczna wśród opadłych liści. Żeby złowić tę niezwykłą rybkę, trzeba wyjąć z wody mnóstwo liści i każdy z nich dokładnie obejrzeć. Zauważyć rybkę w wodzie jest niemożliwością.

Pod pyskiem rybka ta posiada wąski, mięsisty wyrostek, przypominający wyglądem ogonek liścia. Ciało pokryte jest nieregularnymi plamami podobnymi do plesni, często występującej na opadłych liściach. Czarne oczko zamaskowane jest kilkoma zamaskowanymi kreskami. Po bokach ryby znajdują się pigmentowe linie, wyglądające jak środkowa żyłka liścia. Ciało ryby jest bardzo cienkie, płaskie.

Podobne ryby-liście zamieszkują również wody Cejlonu i Filipin.

## DLA KAŻDEGO COŚ INNEGO

### PLEBISCYT CZYTELNICZY „PŁOMYKA"

## KOMU PRZYZNAŁBYŚ „ORLE PIÓRO"?

KONKURS ORLEGO PIÓRA

Kto w tym roku otrzyma zaszczytne „Orle Pióro"? To będzie zależało od was. Napiszcie, który z autorów, waszym zdaniem, zasługuje na to wyróżnienie.

A więc już dziś wypełnij kartkę pocztową wg poniższego wzoru i prześlij ją pod adresem: **Redakcja „Płomyka", Warszawa, ul. Spasowskiego 4.**

Imię i nazwisko autora . . . Adres . . . . . .

Tytuł książki . . . . . .

Twoje imię i nazwisko . . . . . .

Na karcie zaznacz „Orle Pióro". Termin nadsyłania odpowiedzi został przedłużony do 20 kwietnia br.

Uwaga: Wymieniona przez ciebie książka musi być napisana przez żyjącego polskiego autora, wydana przez Inst. Wyd. „Nasza Księgarnia" i nie może to być lektura szkolna.

Wśród uczestników konkursu rozlosowane będą nagrody ufundowane przez I. W. „Nasza Księgarnia": dwa zegarki, dwie gitary oraz wiele książek. Ponadto uczestnicy konkursu wylosują kilkadziesiąt znaczków „Orlego Pióra".

## DLA KAŻDEGO COŚ INNEGO

## KONKURS RYSUNKOWY

## DLA MIŁOŚNIKÓW PRZESTWORZY!

Aeroklub Warszawski, Kuratorium Okręgu Stołecznego Warszawy, Redakcja „Swiata Młodych" oraz redakcja „Skrzydlatej Polski" organizują dla miłośników przestworzy **Wielki Konkurs Rysunkowy z Nagrodami.**

Konkurs ten organizowany jest z okazji 40-lecia Aeroklubu Warszawskiego, jednego z najstarszych aeroklubów w Polsce.

Foto CAF.

## WARUNKI KONKURSU

● Uczestniczyć w nim mogą wszyscy czytelnicy „Swiata Młodych" i „Skrzydlatej Polski", którzy nie przekroczyli szesnastego roku życia.

Dla stworzenia równych szans komisja wprowadza podział na dwie kategorie wieku

1. Do lat 11.
2. Do lat 16.

Dlatego też prosimy o podanie (na odwrocie rysunku) imienia z nazwiskiem, dokładnego adresu i wieku, poświadczonych stemplem szkoły.

● Dla ułatwienia podajemy tematy do wyboru:

a) lotnictwo w walkach o wyzwolenie. Na podstawie zasłyszanych opowieści i przeczytanych książek.

b) Lotnictwo w służbie człowieka (pasażerskie, sanitarne, usługi gospodarcze).

c) Lotnictwo sportowe (balony, modele, samoloty, szybowce, spadochrony).

d) Człowiek w kosmosie.

Ilość nadesłanych prac, wymiary i technika wykonania — dowolne.

**TERMIN:**

Rysunki w terminie do dnia 29.IV.1967 r. nadsyłać należy na adres:

Aeroklub Warszawski, Warszawa-Gocław, ul. Miedzeszyńska 4.

# MO na tropie

Pan Stanisław S., starszy ekspert z Działu Badań Broni Palnej, Zakładu Kryminalistyki — demonstruje prawdziwy Winchester, taki jaki oglądamy często u kowbojów na filmach z Dzikiego Zachodu.

(Ciąg dalszy ze str. 1)

— Ależ to wylot lufy...

— No tak. A teraz dwa szybkie ruchy i...

— ... Można tu włożyć nabój! — dokończyłem obserwując manipulacje przy rączce laski.

— A teraz proszę się uważnie przyjrzeć. Tu jest języczek spustowy. To wprawdzie nie jest zbyt celna broń, ale za to dobrze zamaskowana.

W sąsiedniej szafie naliczyłem około 300 rewolwerów i pistoletów. Na specjalnych stelażach wzdłuż całej sali leżały różnego typu karabiny i strzelby, fabrycznej produkcji i „amatorskiej", odebrane przestępcom.

— Ten liczny zbiór broni palnej to nie tylko muzeum, ale równocześnie bardzo pożyteczna pomoc przy prowadzonych przez nas badaniach — wyjaśnia pan Stanisław.

— Trafiają do nas, oddane do ekspertyzy, elementy a czasem i drobne detale różnej broni. Naszym zadaniem jest ustalić m.in., z jakiej pochodzą broni.

— Czy to takie ważne?

— Bardzo! Była kiedyś słynna sprawa groźnego bandyty Mazurkiewicza. Do naszej pracowni trafiło znalezione denko magazynka przy jednej z jego ofiar. Ustaliliśmy, że z pewnością pochodzi z pistoletu „Walther-9". A taki pistolet miał właśnie Mazurkiewicz. Było to jedno z ważnych ogniw, jeden z dowodów potwierdzających winę przestępcy. Zejdźmy może na dół — zaproponował pułkownik — do strzelnicy. Po jej zwiedzeniu wiele spraw się wyjaśni.

Strzelnica niczym szczególnym chyba by się nie wyróżniała, gdyby nie solidny murek ochronny i dziwne urządzenie, składające się z postumentu na broń palną i dwóch bramek. One to właśnie pozwalają bezbłędnie określić szybkość pocisku, a więc jego siłę, a tym samym ustalić, czy z określonej odległości można było trafić do celu i jaką wyrządzić szkodę.

— Ten postument — wyjaśnia inż. Adamczak — połączony jest z czasomierzem elektronowym. Kiedy oddajemy strzał, pocisk, przelatując przez pierwszą bramkę — przerywa ten oto drucik. Wtedy czasomierz zostaje uruchomiony. Zwykle w odległości 1 m, ale czasem 20 — 50 m ustawiamy drugą bramkę z przewieszoną szybą. Kiedy pocisk ją stłucze i przerwie nalepiony na niej pasek folii metalowej, wtedy automatycznie wyłącza się czasomierz. Jak wiadomo z fizyki, znając drogę i czas — łatwo obliczyć prędkość, a następnie energię, z jaką pocisk uderza w cel.

— A do czego służy ten murek, zbudowany przed postumentem?

— Całkiem po prostu chowamy się za nim wtedy, kiedy sprawdzamy tzw. „samodziały", czyli broń produkcji „amatorskiej". Ciśnienie wypychające pocisk z lufy wynosi około 3000 atmosfer. To potężna siła, potrafiąca rozerwać na strzępy lufę wykonaną domowym sposobem i ranić ludzi stojących w pobliżu.

Do naszej pracowni trafia przecież nie tylko broń odebrana przestępcom. Czasem się zdarza, że młodzi chłopcy mają ochotę sobie postrzelać. Więc majstrują z takiego materiału, jaki wpadnie im akurat w rękę, różnego typu „samopały". I nie zdają sobie sprawy z tego, jakie potężne siły uruchamiają.

Raz, drugi uda się takiej broni wystrzelić, a potem za duża porcja środków wybuchowych rozsadza lufę i nieszczęście gotowe. Dobrze, jeśli skończy się na szpitalu i kalectwie...

Proszę mi wierzyć, że my tutaj dobrze się znamy na broni palnej i zdawałoby się nie kryje ona przed nami żadnych tajemnic. A jednak, kiedy sprawdzamy pewne typy broni, chowamy się za ten murek, korzystając z usług elektrycznego spustu.

Amatorzy zaś beztrosko obchodzą się z bronią, którą wciąż jeszcze można znaleźć z czasów wojny, albo wrzucają wykopane gdzieś naboje do ogniska. To tak efektownie strzela.

— A potem w biuletynach milicji i w gazetach można przeczytać o nieszczęśliwych wypadkach — dorzucam.

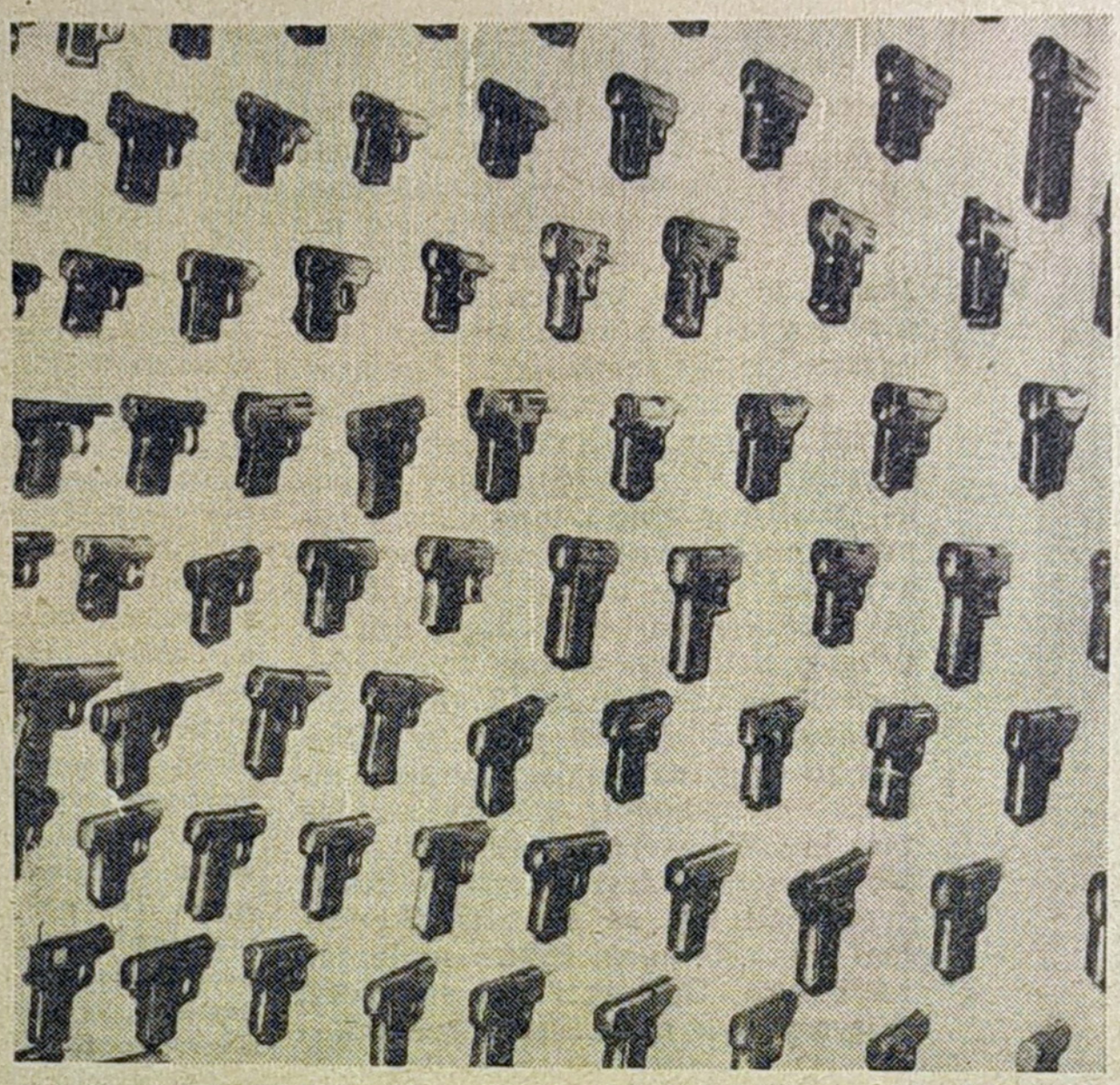

To tylko mały fragment zbioru broni krótkiej. Naliczyliśmy ogółem około 300 sztuk różnego kalibru pistoletów i rewolwerów.

— Właśnie! Aż mi skóra cierpnie na grzbiecie, gdy pomyślę sobie, ile nowych ofiar przyniosły głupie zabawy w strzelanie z klucza. Za każdą taką detonacją kryje się groźba wypalonego oka, urwanego palca, a czasem po prostu śmiertelne okaleczenie.

Wam, redaktorze, czytelnicy wierzą, napiszcie więc w „Świecie Młodych" wielkimi literami **OSTRZEŻENIE!**

**Podpułkownik, inżynier Stefan Adamczak, zastępca kierownika Zakładu Kryminalistyki radzi:**

**1. Jeśli znajdziecie nie znany przedmiot metalowy — nie ruszajcie go.**

**2. Jeśli będziecie podejrzewali, że to niewypał — natychmiast zawiadomcie najbliższy posterunek milicji.**

**3. Ostrzegam, że nabój, gdyby nawet i 100 lat leżał w ziemi — może wybuchnąć.**

W Zakładzie Kryminalistyki przy Komendzie Głównej MO...

**...notował: JERZY B. KLIMA**
**fotografował: JERZY DĄBROWSKI**

Te trzy rewolwery, to autentyczna broń używana przez osadników amerykańskich w XIX wieku.

## Inga radzi nastolatkom

# Miejcie swój własny styl!

BYĆ NOWOCZESNYM — to znaczy iść z duchem czasu. Słusznie powiedział „Paweł", że trzeba być wszechstronnym. Nie wystarczy znać przeboje angielskich zespołów, tajemnice prywatne Brigitte Bardot, nosić „rollingstonki" i krótkie sukienki.

Za człowieka nowoczesnego uważam osobę o wszechstronnych zainteresowaniach. Prawie każdy z nas ma swego „konika". Moim jest literatura i muzyka poważna. Uwielbiam Żeromskiego, Staffa, Asnyka. Ich utwory są piękne. A Beethoven, Strauss, czy nie są wspaniali? Dla mnie tak! Tylko nie myślcie, że interesuję się tylko tym. Lubię przecież big-beat, jazz. Czytam również powieści i wiersze współczesne.

Polityka, technika, loty kosmiczne — to wszystko interesuje mnie nie mniej aniżeli „Ludzie bezdomni", czy wspaniałe walce Straussa. Staram się iść z duchem czasu. Sama uważam się za dziewczynę nowoczesną. Nie wiem, czy mogę zasłużyć na to miano w oczach swych koleżanek i kolegów?

**W mojej klasie jest bardzo wiele dziewcząt „nowoczesnych". Ich legitymację stanowi tylko i wyłącznie moda, big-beat, co dziwniejsze... chłopcy. Uważają, że nowoczesność to „podrywanie" chłopców.**

**Ileż razy spotkałam takie czternastolatki zaczepiające starszych, obcych chłopców. Śmiać mi się chce, gdy widzę swoje koleżanki „polujące" na zdobycz. Podobnie, jak „Ta nowoczesna" uparcie odmawiam sobie takiego „zakochiwania" się. Swych kolegów uważam za dobrych i równych przyjaciół, a nie za partnerów do tzw. „chodzenia".**

**Słyszy się nieraz, że „nowoczesna młodzież" jest czarną plamą naszego społeczeństwa.**

**Nie zgodziłabym się z tym, bo przecież ci, co naprawdę są nowocześni, co rozumieją te słowa w pozytywnym znaczeniu, nigdy nie pozwolą sobie na jakieś nieodpowiednie wyskoki. Moi rówieśnicy z Radomia w swych wypowiedziach podkreślali sposób ubierania się. Sądzę, że nie każdy dobrze wygląda, w tym, co obecnie lansuje moda. Proszę sobie wyobrazić wygląd tęższej dziewczyny w modnych dżinsach. Na pewno wygląda dziwnie i groteskowo.**

Z drugiej strony to, że ktoś stara się być modnym (jeśli chodzi o ubiór) wcale nie świadczy o jego niskim poziomie intelektualnym. Mam kolegę, który nosi rozszerzane spodnie, oprychówkę, rollingstonki, troszeczkę dłuższe włosy, a mimo to jest bardzo oczytany, interesuje się muzyką, filmem, sportem itd.

Uważam, że chcąc być nowoczesną dziewczyną (nowoczesnym chłopcem), trzeba przede wszystkim mieć swój styl. Własny i niepowtarzalny. Bo czy będzie nowoczesnym ten, kto na siłę będzie się starał zainteresować bigbeatem, nie lubiąc go, a tylko dlatego, żeby wykazać jego znajomość ze względu na innych? Z pewnością nie. (rj.)

**INGA**

Hallo, co słychać?

# NASTĘPCY ZASADY W RZESZOWIE

CHŁOPCY z pracowni technicznej Domu Dzieci i Młodzieży w Rzeszowie nie mają jeszcze „dorosłego" prawa jazdy, ale sport samochodowy stanowi ich pasję. W ubiegłym roku skonstruowali swój pierwszy, niedoskonały jeszcze, model go-carta, z silnikiem z „Komara", z kołami od dziecięcego rowerka, które przy większych szybkościach odpadały na zakrętach. Mieli więcej zapału i chęci niż doświadczenia, pracowali bez żadnych planów.

Teraz budują swój nowy, doskonały model. Materiał zbierają skąd się da: ramę montują ze starych łóżek

wojskowych, silnik dopasowują ze starego motocykla, a koła na grubych oponach zakupili za uzbierane pieniądze. Pracują według planów wydrukowanych w „Horyzontach Techniki". Spieszą się bardzo, aby ich pojazd był już gotowy w kwietniu, chcą go bowiem zaprezentować na wystawie Domów Kultury woj. rzeszowskiego.

A wiosną zaczną jeździć. Trenują na boisku szkolnym oraz na szosie pod Rzeszowem. Wszyscy, z wyjątkiem najmłodszego, dwunastoletniego Ryśka, siedzieli już za kierownicą go-carta. Kupili sobie skórzaną kurtkę i kask, aby zabezpieczyć się przed upadkami. Żałują tylko, że nie mają konkurentów w Rzeszowie, bo chętnie urządziliby zawody.

Życzymy młodym konstruktorom z Rzeszowa skonstruowania doskonałej maszyny, a w przyszłości laurów w prawdziwych zawodach.

J.W.

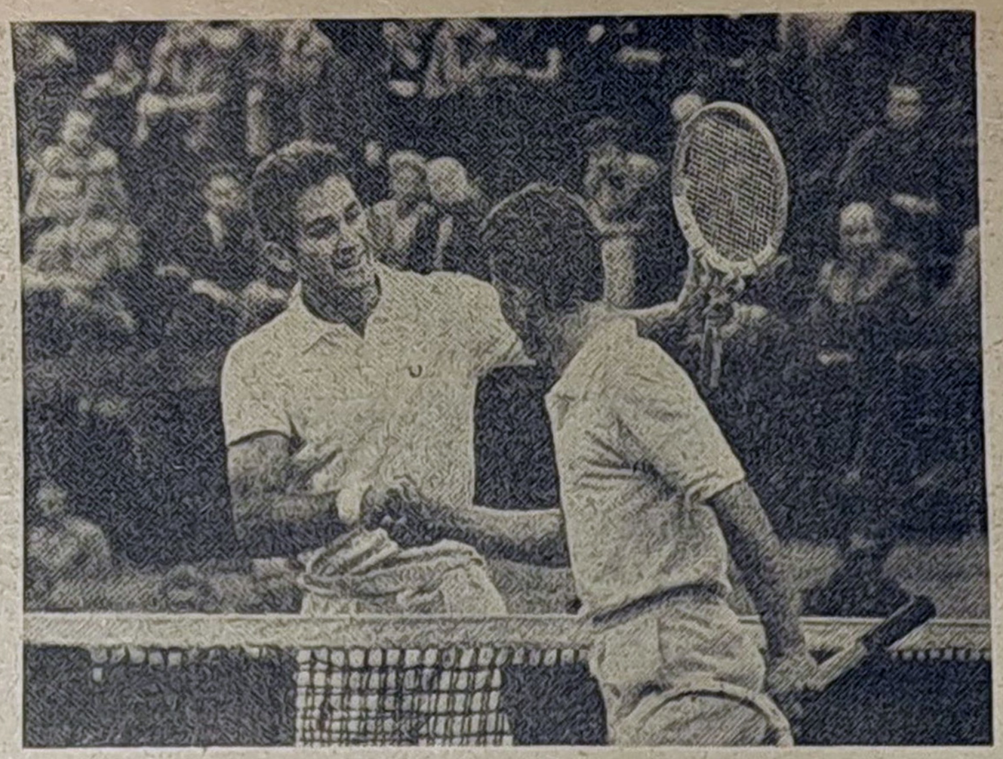

Ta siatka dzieliła ich przez 5 setów. Przez wiele godzin staczali morderczą walkę o każdy punkt, o każdy gem. Ale teraz, choć dopiero przed chwilą zakończyli mecz, uśmiechają się do siebie przyjaźnie. Ten, kto był tego dnia gorszy — przegrał. Ale któż może przewidzieć, jaki będzie wynik następnym razem? W tym przecież kryje się cały, niepowtarzalny urok sportowej walki.

Napisał TADEUSZ OLSZAŃSKI

Foto

# PRZYJACIELE ze STAD

Byłem najniższy w klasie. Mikrus — tak mówiono do mnie — nie powiem, żeby pogardliwie, ale nie lubiłem tego przezwiska. Moi rówieśnicy byli co najmniej o głowę wyżsi ode mnie, silniejsi. Nie miałem co podskakiwać. I nie miałem też w klasie przyjaciół. Kto by chciał kolegować z takim jak ja maluchem? Aż przyszło do gry w nogę. Mieliśmy grać z inną klasą i naprzód przeprowadziliśmy mecz między sobą, żeby ustalić skład. Mnie nie chciano ani do jednej, ani do drugiej drużyny, ale w końcu dostałem się na boisko. Koledzy nie wiedzieli, że dobrze gram w piłkę. Kopałem ją na haldach wraz z innymi chłopakami, nauczyłem się tam kiwać i strzelać jak nikt inny. No i dopiero teraz koledzy z klasy przekonali się, co potrafię. Strzeliłem kilka bramek, byłem najlepszy na boisku. Gdy skończył się mecz, wszyscy byli moimi przyjaciółmi.

Zapamiętałem dobrze ten fragment rozmowy przeprowadzonej kiedyś z jednym z naszych czołowych piłkarzy Zygfrydem Szołtysikiem, z Górnika Zabrze. Rozmawialiśmy wprawdzie o tym, jakie są blaski i cienie piłkarskiej kariery i czy łatwo jest łączyć sport z nauką, gdy w pewnym momencie Szołtysik mocno podkreślił, jak wielu przyjaciół zyskał przez uprawianie sportu i opowiedział przytoczoną powyżej historię.

## Szacunek dla słabszego

ZAINTERESOWAŁ mnie ten problem i później w wielu rozmowach ze znanymi sportowcami powracałem do tej sprawy. Okazało się, że wielu znanych dziś mistrzów zaczynało uprawiać sport nie z myślą o biciu rekordów i zdobyciu sławy, ale przede wszystkim w poszukiwaniu przyjaciół. Kolegów i przyjaźni szukali przez sport świetny szermierz inż. Wojciech Zabłocki, doskonały lekkoatleta Andrzej Badeński i wielu innych.

Sport jest znakomitym środkiem na samotność, na przełamanie nieśmiałości, a sportowa przyjaźń ma szczególny charakter. U jej podstaw leży współzawodnictwo, chęć osiągania coraz lepszych wyników. Wydawałoby się, że to raczej będzie przeszkodą, że ci, którzy osiągają lepsze wyniki, szybciej biegają, czy dalej skaczą, nie będą się przyjaźnić ze słabszymi. Tak nie jest. Obserwujemy wręcz przeciwnie, że ci lepsi chętnie pomagają początkującym i słabszym. Sport uczy bowiem, że sam talent to jeszcze nie wszystko, że trzeba mieć również charakter, systematycznie trenować, być koleżeńskim.

Najlepiej wyjaśnia to historia, którą opowiedział mi jeden z lekkoatletów.

**— Do naszej sekcji zgłosił się na treningi pewien chłopiec. Był niezgrabny. Wydawało się, że nigdy nie będzie sportowcem. A ja uzyskiwałem już dobre wyniki, mówiono, że mam talent. Tamten niezręczny denerwował mnie, zacząłem mu dokuczać. Chowałem w szatni jego ubranie, wyciągałem mu sznurówki z butów, odradzałem mu uprawianie sportu. On jednak był uparty, zaciął się w sobie, nie opuścił ani jednego treningu. Po pewnym czasie trener przestawił go z uprawiania skoków na rzuty. I stała się rzecz niespodziewana. Bula — tak go przezywałem — zdobył mistrzostwo młodzików w pchnięciu kulą. A mnie akurat nie powiodło się i zająłem w swojej konkurencji trzecie miejsce. Gdy wróciłem do szatni, obok swoich butów znalazłem karteczkę: „A ja ci teraz nie wyciągnę sznurówek". Zrobiło mi się wstyd. Za jednym zamachem poniosłem dwie porażki! Na drugi dzień przeprosiłem Bulę za wszystkie poprzednie złośliwości i zostaliśmy przyjaciółmi. Od tego wypadku już zawsze pomagałem wszystkim nowym, którzy przychodzili trenować, mówiłem im, co mają robić, aby biegali tak szybko jak ja!**

Nie zdradzę nazwiska sportowca, który w zaufaniu podzielił się ze mną tym wspomnieniem. Od siebie dodam, że w sporcie nie wiadomo, kto wygra, i zdarza się, że słaby zawodnik zwycięża mistrzów. Ale nie tylko to jest podstawą koleżeństwa w sporcie. Wypływa ono ze wspólnego treningu, z tego, że wszyscy z jednakowym wysiłkiem wykonują najtrudniejsze ćwiczenia po to, aby być sprawniejszym, silniejszym. Sportowa przyjaźń oparta jest również na solidarności występowania w barwach jednego szkolnego koła sportowego lub innego klubu, do którego się należy.

## Ważniejsze od kondycji

W PIŁCE NOŻNEJ, siatkówce, koszykówce, hokeju koleżeństwo staje się czynnikiem decydującym o zwycięstwie drużyny. Wzajemne zrozumienie jest w sportach zespołowych bodajże ważniejsze od wyszkolenia technicznego czy dobrej kondycji.

Aktualni mistrzowie Polski w koszykówce, zawodnicy AZS Warszawa opowiadali, jak ten sport wzajemnie łączy.

— Prowadzę piłkę — opowiadał jeden z koszykarzy AZS Warszawa — podbiegam pod kosz, robię manewr jakbym już chciał rzucić piłkę, ale wiem doskonale, że ubezpiecza mnie jeden z kolegów, musi być o dwa metry z tyłu za mną. Mnie kryją przeciwnicy, mogę rzucać, ale nie mam stuprocentowej pewności wsadzenia piłki do kosza. O wiele większe szanse zdobycia punktów ma kolega, który stoi z tyłu. Polegam na nim, nie oglądając się podaję piłkę do tyłu i patrzę na tablicę. Jest! Piłka trzepocze się w obręczy. Dopiero teraz odwracam się i sprawdzam, że to właśnie on, najlepszy mój przyjaciel, wykonał bezbłędnie to o co mi chodziło. Trzeba być dobrymi przyjaciółmi, żeby mieć takie wyczucie w grze!

To właśnie ta wędrująca z ręki do ręki piłka, dobre podanie czy też wystawienie do ścięcia jest jakby nicią, która umacnia przyjaźń. A sztafeta? Tu tak samo liczy się wysiłek wszystkich jej uczestników, żeby jak najprędzej przekazać pałeczkę, żeby wygrać.

## Nawet rywal...

JEST W SPORTOWEJ PRZYJAŹNI jeszcze jeden rozdział, taki, jakiego nie ma w żadnej innej dziedzinie życia. No bo pomyślcie, czy zdarza się, aby ktoś lubił swoich przeciwników, wrogów?

Zmagania na bieżni, boisku, ringu są niejednokrotnie niezwykle ostre. Mimo to jednak, gdy sędzia odgwizdał koniec meczu lub gong zakończył walkę, przeciwnicy podchodzą do siebie, podają sobie ręce, gratulują zwycięstwa, niejednokrotnie serdecznie się ściskają. Jest w tym pełne uznanie dla przeciwnika, który okazał się lepszy i wygrał, bądź zacięcie bronił i choć przegrał — to zasługuje na uznanie. I właśnie w sporcie powstaje ciekawy rodzaj koleżeństwa między przeciwnikami. Niedawno przeprowadzałem wywiad z utalentowanym skoczkiem narciarskim Władysławem Bachledą-Żarskim. Zapytałem, kogo najbardziej ceni ze znanych skoczków. — *Przyjaźnię się szczególnie z niemieckim skoczkiem Neundorfem. To świetny za-*

## SUSEŁ I BOMBY

ZWYKŁY SUSEŁ pomógł wykryć skład starych bomb, których wybuch mógłby zniszczyć miasto. A było to tak:

Dwóch chłopców bawiło się w starym sadzie owocowym na przedmieściach Tiraspola, gdy w pewnym momencie zauważyli przemykającego się susła. Pobiegli za nim, ale suseł znikł w norze. Kiedy rozkopali ją, ujrzeli, zamiast susła, zardzewiały stabilizator od bomby. Na szczęście dla siebie i całej osady zaprzestali kopania, a ze swego odkrycia zwierzyli się rodzicom.

Brygada radzieckich saperów odkopała w tym miejscu ponad 2 tysiące potężnych bomb lotniczych oraz wiele pocisków artyleryjskich, pozostawionych przez Niemców, gdy wycofywali się z tych okolic wiosną 1944 roku.

## W KRAINIE DZIKICH ZWIERZĄT

STOLICA KENII, Nairobi, założona 60 lat temu, nie straciła dotychczas bliskiego kontaktu z otaczającą ją dżunglą. Już na lotnisku można zobaczyć nosorożce pasące się na skraju pola startowego, a w drodze do miasta nietrudno spotkać zebry, żyrafy i antylopy. Do miasta trafiają niekiedy hipopotamy wędrujące doliną rzeki Ati.

Przyczyną tak bliskiego kontaktu jest fakt, że miejscowy park narodowy znajduje się w odległości kilku zaledwie kilometrów na północ od Nairobi. Na terenie parku, w Nyeri, założono dla turystów hotel mieszczący się wśród gałęzi olbrzymiego figowca. Wchodzi się do niego po drabinie, którą trzeba wciągać na noc, żeby uniknąć nieproszonej wizyty któregoś z mieszkańców rezerwatu.

Tuż przy hotelu znajduje się słona sadzawka, do której często ściągają słonie, antylopy, małpy i nosorożce. Goście hotelowi mają więc doskonałe warunki do fotografowania przedstawicieli dzikiej fauny Czarnego Lądu.

To zdjęcie afrykańskiego słonia wykonał jeden z turystów z „okna" hotelu mieszczącego się we wspomnianym wyżej figowcu.

*wodnik, groźny rywal i dobry kolega. Jest sławny, ale nie jest bynajmniej zarozumiały i ilekroć spotykamy się, dzieli się ze mną swoim doświadczeniem, radzi jak trenować, co poprawić w technice skoku.*

W skokach narciarskich nie ma jednak bezpośredniego starcia przeciwników. Jest za to w boksie. W tej dyscyplinie również nawet najbardziej zacięci rywale są poza ringiem przyjaciółmi. Świetni bokserzy wagi piórkowej — Jerzy Adamski i Piotr Gutman — oraz wagi półśredniej — Leszek Drogosz i Marian Kasprzyk, walczyli do ostatniej sekundy o zakwalifikowanie się do reprezentacji na Olimpiadę w Tokio, ale mimo to pozostali przyjaciółmi. Lucjan Słowakiewicz przez wiele lat był na mistrzostwach Polski rywalem Tadeusza Walaska i nigdy nie mógł go pokonać. Raz nadarzyła się taka okazja. Walasek prowadził na punkty, do końca walki pozostała niecała minuta i nagle Słowakiewicz mocno tra-

grafował MIECZYSŁAW SZYMKOWSKI

# ...IONÓW

fił przeciwnika. Pod Walaskiem ugięły się nogi, opuścił rękawice. Jeszcze jeden cios i Słowakiewicz sprawi ogromną sensację, nokautując wielokrotnego mistrza Polski. Zwycięży i zdobędzie tytuł. Ale cios nie zostaje zadany. W kilka sekund mija kryzys i Walasek kończy walkę wygrywając ją na punkty. Gdy dziennikarze zapytali Słowakiewicza, dlaczego nie zadał przeciwnikowi nokautującego ciosu, ten odpowiedział: *Przecież Tadeusz jest moim przyjacielem. Nie mogłem się zdobyć na to, aby wygrywać z nim przez nokaut, bo taka porażka jest szczególnie przykra. Tym bardziej, że Tadeusz był oszołomiony już pierwszym ciosem i nie mógł się bronić. Chcę z nim wygrać, będąc lepszym od niego przez całą walkę, a nie jednym ciosem!*

*

O POWIEDZIAŁEM WAM, drodzy czytelnicy, to, co wiem o sportowej przyjaźni. Jako sprawozdawca z niejednej wielkiej imprezy miałem okazję obserwować wiele pięknych gestów koleżeństwa. I radzę wam gorąco:

**Jeśli nie macie przyjaciół, jeśli czujecie się samotni, idźcie uprawiać sport. Na boiskach zyskacie nie tylko zdrowie, radość i siłę, ale także wypróbowanych przyjaciół.**

**Rekordzista świata w rzucie dyskiem, Czechosłowak Ludwik Danek, przyjechał do Bydgoszczy, by wspólnie trenować z naszym dyskobolem — Zenonem Begierem.**

**Przez wiele lat, Kazimierz Zimny był nie do pokonania dla krajowych rywali, a i na świecie najlepsi musieli uznawać jego wyższość. Oto moment po zakończeniu biegu. Młody rywal Zimnego, Motyl jest bardzo wyczerpany. Więc Mistrz, bez słowa przyklęknął, by rozwiązać mu pantofle.**

# W GOŚCINIE U BABCI MERCEDES

NIEZBYT godna pozazdroszczenia przygoda spotkała pewną starszą mieszkankę hiszpańskiego miasteczka Gigona, panią Mercedes. Kiedy staruszka spokojnie spała w swoim mieszkaniu, do sypialni weszło jakieś zwierzę i położyło się na chodniku, przy łóżku. Zbudzona pani Mercedes pogładziła po grzbiecie zwierzaka, myśląc że to pies i... zasnęła. Zasnął też „pies". W chwilę potem do pokoju weszło cicho kilku mężczyzn. Kiedy babcia Mercedes otworzyła oczy, z przerażeniem stwierdziła, że domniemany pies-przybłęda jest... tygrysem. Okazało się, że tygrys uciekł z pobliskiego cyrku.

Seniora Mercedes San Felis długo nie mogła przyjść do siebie, a i teraz, na widok każdego wielkiego psa trzy razy zamyka i otwiera oczy sprawdzając czy ją wzrok nie myli — czy to naprawdę pies, czy tygrys.

# ŚLĄSKI „KRÓL" ŁOWCÓW MOTYLI

JEDEN z mieszkańców Świętochłowic, pan Stanisław Skrabania od ponad dwudziestu lat zajmuje się kolekcjonerstwem różnych gatunków motyli. W swoim, największym w Polsce, zbiorze ma już 15 tys. tych owadów, usystematyzowanych w 560 gablotach. Spośród około 2,5 tys. gatunków motyli występujących w kraju, śląski entomolog posiada miniaturowe ćmy o rozpiętości skrzydełek 2—3 mm i olbrzymy dochodzące do 13—15 centymetrów.

# Księżniczka

Napisał JANUSZ DOMAGALIK (7)

CO MY O NIEJ w ogóle wiedzieliśmy? Zupełnie nic. Dopiero teraz w pełni zdałem sobie z tego sprawę. Malcherczyk chyba też. Do tej pory Irka nas intrygowała: skąd się tu wzięła, dlaczego przyjechała w połowie roku? Ale teraz nie to było dla mnie ważne. Teraz mnie męczyło, że nie wiem, jaka ona jest, co robi po szkole, o czym myśli... Dziwiło mnie, że nagle, po raz pierwszy zastanawiam się, o czym ktoś tam może sobie myśleć. No, nie „ktoś tam", tylko ona, Księżniczka. Malcherczyk powiedział: nasza Księżniczka.

Szwagier odebrał od mamy w pokoju dokładne instrukcje, ile pieluszek ma kupić i jakie, przyszedł do kuchni i wdał się z nami w rozmowę. Może mama mu kazała? Mrugnąłem więc do Malcherczyka, żeby wiedział, że nie o wszystkim można ze szwagrem mówić. Facet był nowy w rodzinie, „zielony", jeszcze nie miałem gwarancji, czy Ziutka go zdążyła choć trochę wychować. Ale kiedy tak słuchałem, jak sobie z Malcherczykiem pięknie rozmawiają, przyszło mi do głowy, że można by tego szwagra wreszcie wypróbować. Niechby się do czegoś przydał.

— Słuchaj — mówię ni w pięć ni w dziewięć — mamy taką trudną sprawę... Wychowawczyni nam ją zleciła. Może byś pomógł? Trzeba znaleźć adres pewnej osoby, ale znamy tylko imię i nazwisko. Więc jak to zrobić?

Malcherczyk spojrzał na mnie z uznaniem, w lot chwycił o co chodzi. Pokiwał smętnie głową.

— Biedna ta nasza wychowawczyni — powiedział. — Chyba już nigdy nie znajdzie swojej kuzynki...

„Przeholował bałwan — pomyślałem. — Niepotrzebnie uderzył w taki żałosny ton..." Ale szwagier niczego podejrzanego nie zauważył, przejął się sprawą.

— W dużym mieście, na przykład w Warszawie, to jest takie specjalne biuro adresowe... — zaczął nam robić wykład, ale mu przerwałem.

— Wiesz, nas tak znowu bardzo nie interesuje, jak jest w Warszawie. Chodzi o nasze miasto...

— Przecież tu się prawie wszyscy znają?

— Ma pan rację. Prawie, ale jednak nie wszyscy... — powiedział uprzejmie Malcherczyk. — Chodzi o kogoś, kto tu przyjechał mniej więcej miesiąc temu.

— Jeśli ten ktoś jest zameldowany, to nic trudnego. Jutro się mogę dowiedzieć... — zaofiarował się ochoczo szwagier.

— A dzisiaj by już nie można? — spytał Malcherczyk, trochę rozczarowany, ale kopnąłem go pod stołem i uspokoił się zaraz. — No słusznie, już jest wieczór, za późno.

Podałem szwagrowi nazwisko Irki, zapisał sobie na kartce i poszedł do pokoju. Usłyszałem, jak tłumaczy mamie szeptem:

— Już wiem, dlaczego on się całe popołudnia włóczył po osiedlu... Niech się mama nie martwi, to wychowawczyni im kazała...

— Bystry szwagier to skarb — powiedział Malcherczyk, kiedy odprowadzałem go do domu. Roześmieliśmy się na głos. Rzeczywiście, Ziutka będzie się musiała nad tym swoim mężem dużo napracować. Ale lepszy taki, niż ten złodziej Gurkiewicz.

Nie mogłem się doczekać, kiedy minie wieczór, przeleci noc i człowiek znajdzie się rano w szkole. Pierwszy raz w życiu tęskniłem za szkołą. Śmieszne... Oczywiście, że nie za szkołą. Nie mogłem się doczekać, kiedy zobaczę Irkę.

Będziemy rozmawiali na wszystkich pauzach. Tylko we troje: ona, Malcherczyk i ja. A po lekcjach odprowadzimy ją pod dom... Nie. Odprowadzimy tylko do mostu. Powiemy, że nam się spieszy. I nie spytamy wcale, gdzie mieszka. A po obiedzie, kiedy szwagier da mi jej adres, polecę do Malcherczyka i zrobimy Irce niespodziankę. Pójdziemy do niej wieczorem, niby zapytać, co zadane. To był dobry pomysł z tym szwagrem...

Kładłem się spać i wciąż myślałem o jutrzejszym dniu. Już z góry cieszyłem się nim więcej, niż jakimkolwiek innym dniem dotychczas. Dałbym głowę, że Malcherczyk też podobnie myślał. I wcale mnie to nie gryzło, nawet byłem zadowolony.

Następnego dnia już za kwadrans ósma wpadłem do klasy. Malcherczyk przyszedł tuż po mnie. Irki nie było.

„Pewno się spóźni... — myślałem — albo przyjdzie po pierwszej lekcji". Ale minęła pierwsza lekcja, druga. Irka w ogóle nie przyszła do szkoły.

— Może chora? — powiedział Malcherczyk. — Zdenerwowała się wczoraj i może jest chora? Moglibyśmy ją odwiedzić... Powiemy, że nas nauczycielka przysłała. Dobrze?

Z automatu na poczcie zadzwoniłem do szwagra do pracy.

— Przepraszam was bardzo — tłumaczył się — ale dzisiaj mam masę roboty. Jutro wam znajdę ten adres... albo pojutrze, dobrze?

Minęły trzy dni. Irka nie przychodziła do szkoły. Już nie tylko ja i Malcherczyk odczuliśmy brak Księżniczki. Dziewczęta rozmawiały ze sobą na ten temat, Fronczak się dopytywał. W klasie nie było teraz tak, jak miesiąc temu, kiedy jeszcze Irka nie chodziła do nas. W klasie było bez niej pusto.

Trzydzieści osiem osób przelewało się między ławkami na każdej przerwie, panował zwykły gwar i rozgardiasz. A jednak było pusto. Kiedy Irka była z nami, nie rozmawiała przecież prawie z nikim. Mówiła tylko tyle, co konieczne: proszę, przepraszam, co zadane, ale dziś zimno... Dlaczego więc teraz wszyscy odczuli jej brak? Nasze dziewczyny jej nie lubiły. Więc dlaczego teraz zastanawiały się, co też mogło się jej wydarzyć, czemu nie przychodzi?

Lewandowski starał się schodzić nam z drogi, unikał zresztą nie tylko nas dwóch. Może on też czuł, że coś się w klasie zmieniło. Na gorsze.

Na najbliższej lekcji z wychowawczynią, wstała Danka Kozłowska i zapytała:

— Czy nie trzeba posłać kogoś do Irki? Co się z nią dzieje?

— Ja bym mógł pójść... To znaczy my z Jackiem — zaproponował Malcherczyk, i nawet nikt nie robił z tego żadnych żartów. Klasa przyjęła propozycję zwyczajnie, kilka dziewcząt i chłopców kiwnęło głowami, że owszem, moglibyśmy pójść.

— Nie, nie trzeba... — odpowiedziała wychowawczyni. — Zapomniałam wam powiedzieć, że Irka nie będzie już chodziła do nas. Wczoraj wyjechała. Nagle postanowiła, uparła się, nie można ją było powstrzymać... Tak przynajmniej powiedział mi dziadek Irki, bo rozmawialiśmy ze sobą. Wróciła do swojej starej szkoły...

— A skąd ona była? — spytał Kawecki.

— Nie wiecie? Nie pytaliście jej? — zdziwiła się wychowawczyni. — Z daleka, z Gdyni. To biedna dziewczyna... Nawet dziwię się, że wróciła tam, bo przecież ona właściwie nie ma domu. Matka nie żyje, ojciec... ech, lepiej nie mówić. Tutaj mieszkała u dziadków. To wnuczka naszego pana Krukiewicza, nie wiedzieliście? Dlaczego zdecydowała się tam wrócić? Pojęcia nie mam. Może tu, z nami, było jej jeszcze gorzej?

W klasie panowała zupełna cisza. Różne myśli tłukły mi się po głowie, jedna gorsza od drugiej. Nie mogłem sobie z nimi poradzić, nie umiałem, nie chciałem się z tym wszystkim pogodzić. Więc jak to? Była tu, koło nas. Zjawiła się nagle. I tak samo nagle zniknęła. Nikt nie potrafił podać jej ręki, zatrzymać. Nie ma Księżniczki.

**KONIEC**

Rys. St. Rozwadowski


**UWAGA! UWAGA!**

**Z radością zawiadamiamy, że już na majowym kiermaszu w stoisku Wydawnictwa Harcerskiego będziecie mogli kupić na własność nie tylko „Księżniczkę" ale cały zbiór opowiadań Janusza Domagalika pt. „Księżniczka i chłopcy".**

Spotkania z niedźwiedziem nie życzymy nikomu, ale zobaczyć na własne oczy takiego jelonka... Prawda, że śliczny?

— Niedźwiedź jest ogromnie czujny i dlatego bardzo trudno go podejść — wyjaśnia mój rozmówca.

Dwa razy udało mi się zobaczyć tego największego i najgroźniejszego spośród tatrzańskich drapieżników z odległości ok. 100 metrów, raz byłem już bardzo blisko, nie dalej niż 20 metrów, słyszałem trzask łamanych przez niego gałęzi, widziałem świeże ślady i świeże tropy na śniegu, ale niestety umknął...

*

Inżynier opowiada, a ja myślę sobie w duchu, że nawet za cenę najpiękniejszego zdjęcia nie wybrałabym się na takie tropienie i na sam widok śladu niedźwiedziej łapy, odciśniętej na śniegu, uciekłabym od razu, gdzie pieprz rośnie. Bo pomyślcie sobie tylko — cztery łapy, każda stópka wielkości 18x27 cm, waga ok. 300 kg... Stanowczo wolę znać niedźwiedzia ze słyszenia, a nie osobiście!

— W Tatrzańskim Parku Narodowym, zarówno na stronie słowackiej jak i naszej, żyje obecnie ok. 25 niedźwiedzi — mówi inż. Zembrzuski. — Na naszej stronie jest ich prawdopodobnie 6. Okres zimowy spędzają w gawrach i wbrew temu, co się ogólnie mówi, nigdy nie widziałem, żeby taka gawra miała jakieś specjalnie urządzone posłanie. Po prostu niedźwiedź wyszukuje sobie na jesieni jakąś niedostępną jaskinię i układa się w niej między kamieniami.

— A kiedy się budzi?

— W marcu albo w kwietniu. Jest głodny, zaczyna szukać pożywienia i żywi się wtedy niemal wyłącznie padliną. A w lecie i na jesieni przepada za pokarmem roślinnym, przede wszystkim za jagodami i borówkami. Oczywiście potrafi się również zakraść do koszaru, gdzie przebywają owce...

— Ale wypadków z ludźmi nie było?

— Na terenie naszego Parku na szczęście nie. A właściwie był, ale skończyło się na podrapaniu. Niedźwiadek był mały, oswojony, bo dostaliśmy kiedyś taki prezent z Rumunii — dwa niedźwiadki Bartka i Magdę. Łaziły sobie po szlakach turystycznych, turyści częstowali je cukierkami. No i właśnie Bartek objął przy tej okazji jakąś panią, a pani wprost z tego objęcia powędrowała do szpitala, gdzie starannie zamalowano gencjaną ślady misiowych pazurków.

### Jedna kozica, dwie kozicie, trzy kozice...

ZAWSZE mnie interesowało, skąd wiadomo, ile jest w Tatrzańskim Parku Narodowym kozic i jak się przeprowadza coroczne spisy tych niesłychanie płochliwych i żyjących w najwyższych skalnych partiach Tatr zwierząt. I teraz właśnie pytam o to inż. Zembrzuskiego.

— Co rok, późną jesienią wyruszają w teren dwu- lub trzyosobowe grupy rachmistrzów rekrutujących się z pracowników Parku, przewodników tatrzańskich i członków górskiego Ochotniczego Pogotowia Tatrzańskiego. Każda grupa ma ściśle określony rejon i patrolując go przez okres trzech dni zapisuje każdą zaobserwowaną kozicę oraz dokładną godzinę i miejsce spotkania. Oczywiście końcowa suma jest tylko ilością zbliżoną — może być o kilka lub kilkanaście kozic więcej, bo tak się ukryły, że ich nie dostrzegło ludzkie oko, może być mniej — bo nie wykluczone, że któraś z nich została wpisana w rejestr dwukrotnie. Ale w każdym razie w tej chwili na terenie całego parku jest ich ok. 900.

— A na naszej stronie?

— W zimie około 150, a w lecie około 50. Reszta ucieka na teren Słowacji, bo u nas za mały obszar i za duży ruch turystyczny. No i jeszcze, niestety, wypas owiec na halach należących do prywatnych właścicieli... Chroniąc przyrodę, staramy się zresztą wykupywać te hale i mamy nadzieję, że już wkrótce owce na teren Tatrzańskiego Parku będą miały wstęp wzbroniony.

— A co robią kozice teraz?

— Początek wiosny jest dla nich najtrudniejszym okresem. Lawiny, lodospady... Niektóre mimo swej niebywałej zręczności giną pod lawinami, inne wychodzą z takich przygód z mniejszymi lub większymi obrażeniami.

— Ile razy widział pan kozicę?

— Niezliczoną ilość. A w zeszłym roku ktoś doniósł mi, że kozica z młodym nie może się wydostać z jakiejś niedostępnej części żlebu Saturna. Więc na wszelki wypadek, chociaż nie bardzo w to wierzyłem, poszedłem sprawdzić.

— I co?

— Kozica była, ale sama. Przez moment, kiedy wspinałem się ciasnym żlebem do góry, zobaczyłem ją nad sobą, potem ruszyła w dół. Przylgnąłem do skały, przemknęła tuż obok mnie w lawinie kamieni i piargu. A kilkanaście metrów niżej odbiła się od kamieni, podgięła nogi i wspaniałym skokiem śmignęła za skalne bloki.

Świstak stanął sobie słupka i wyraźnie klepie się po brzuchu, zupełnie jakby przed chwilą zjadł coś niesłychanie smacznego.

### Alarm u świstaków

NAJPIERW pytam, ile ich w Tatrzańskim Parku Narodowym mieszka?

— Około 300 — odpowiada inż. Zembrzuski — śpią od końca września do początku maja, a od maja do września zajmują się prawie wyłącznie jedzeniem.

— A co jedzą?

— Przeważnie zioła z trawy, ale spotkałem kiedyś pod szczytem Kasprowego Wierchu takiego łakomczucha, który pałaszował kawałek papy z dachu. Nie mam pojęcia, skąd ją tam znalazł, ale widziałem, że mu bardzo smakuje. Trzymał ją w łapkach i ogryzał ze wszystkich stron. Inny amator odmiany jadłospisu wsadził kiedyś głowę do pozostawionej przez lekkomyślnych turystów blaszanej puszki po konserwach i nie mógł jej wyciągnąć. Gdyby nie pomoc strażników Parku, którzy uwolnili go z tej pułapki, przygoda skończyłaby się na pewno bardzo smutno.

— Zdaje mi się, że największym wrogiem świstaków jest orzeł, czy to prawda?

— Obserwowałem kiedyś orła krążącego nad doliną, w której mieszkało kilkanaście rodzin świstaków — mówi inżynier.

— Ale zanim zobaczyłem orła, usłyszałem charakterystyczny ostrzegawczy głos świstaków, dających sobie wzajemnie znać o niebezpieczeństwie. Wszystkie się od razu pochowały. Zaobserwowałem również, że świstaki, które mieszkają w pobliżu szlaków turystycznych, mają przytępiony instynkt samozachowawczy. Przyzwyczajone do wędrówek ludzi, do gwaru, a często nawet i hałasu, znieczulone ruchem na szlakach, nie zauważają podkradającego się lisa i padają jego ofiarą.

— Ponieważ zbliża się sezon wycieczkowy, myślę, że warto przypomnieć wszystkim turystom te rzeczy, o których na pewno wiedzą, ale o których nie zawsze pamiętają...

— Pierwsza i najważniejsza prośba — żeby na terenie Parku nigdy nie zbaczać ze znaczonych szlaków. Druga — nie hałasować, poruszać się jak najciszej. Trzecia — nie zostawiać po sobie żadnych resztek jedzenia i śmieci, tylko wszystko bardzo pięknie zapakować do plecaka i zabrać z powrotem. I to byłoby chyba wszystko.

**W. CHOTOMSKA**

## WIOSNA W TATRACH

C. d. ze str. 1

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół: Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-77-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEZOWA" RSW „Prasa", WARSZAWA, ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa". Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna 12.00 Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonoszewiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch". Warszawa ul. Wronia 23 — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Zam 399 T-47

Adres redakcji
WARSZAWA
ul. Mokotowska 24

# Jadą wozy z AMERYKI...

**Rzeczywiście, z daleka wygląda to tak, jak gdyby Cyganie wybierali się na kolejną wędrówkę. Wóz ma okienka, przez które można wyglądać, w środku proste ławki. Nie są to żadne luksusy, ale świadczą o jednym: że pracownicy PGR AMERYKA kochają swoje dzieci. I to jest najważniejsze.**

**WPADLIŚMY na ten pomysł w 1964 roku — mówi zastępca dyr. PGR-AMERYKA, pan Józef Werner. — Szosa prowadząca do szkoły w Olsztynku, gdzie uczą się nasze dzieci, jest bardzo ruchliwa. Łatwo na niej o wypadek. Szczególnie niebezpiecznie jest jesienią i zimą. Dyr. PGR Tadeusz Piotrowski zaproponował, aby czynem społecznym zmontować taki właśnie wóz. Pracowaliśmy przy nim wszyscy. Wyszło z tego coś w rodzaju wozu cygańskiego, ale mieści się w środku czterdzieści osób! Dawniej dzieciaki musiały te cztery kilometry w jedną stronę (a więc osiem kilometrów dziennie) — chodzić piechotą. Najgorzej było zimą, maluchy traciły nieraz ponad dwie godziny na przejście tam i z powrotem. I to deszcz nie deszcz, śnieg nie śnieg, do szkoły trzeba iść. Nasz wóz był pierwszy w Polsce, a że pomysł był dobry — chwycił i bardzo się z tego cieszymy".**

Obejrzałem sobie wóz, porozmawiałem z panem Stanisławem Jaworskim, który pełni rolę „kierowcy" (widzicie go na zdjęciu u dołu wraz z „Lalką" i „Zefirem"), przejechałem się kawałek. I przyszło mi do głowy, że gdyby tak wszystkie pegeery w Polsce, których dzieci mają daleko do szkoły, wykombinowały takie wozy — wtedy dopiero można by się cieszyć naprawdę. Jedna jaskółka nie czyni wiosny, ale gdyby ich było kilkaset...

Na pewno ten fotoreportaż będą oglądać czytelnicy, których rodzice pracują w Państwowych Gospodarstwach Rolnych. Pokażcie go w dyrekcji. Godna pochwały inicjatywa PGR AMERYKA winna znaleźć naśladowców wszędzie tam, gdzie droga do szkoły jest daleka i niebezpieczna, wszędzie tam, gdzie szosami i leśnymi dróżkami chodzą dzieci.

Koszt całej imprezy jest niewielki, a zyski ogromne, choć nie zawsze dadzą się wyliczyć. Któż bowiem przeliczy na złotówki tracone co dzień godziny, opuszczone lekcje, i to najgorsze, czego boją się zawsze wasi rodzice, gdy wychodzicie bez opieki z domu.

**Tekst i foto JERZY DĄBROWSKI**